

gląd, musi pracować za wszystkich, aby stać się większością". Dla polaków należy przeznaczyć tu niewiele, niż 40 proc. Tu jednak zachodzi nowa kwestia, czy można nazywać polakami białorusinów katolików. Byłoby to najwyżej niesprawiedliwość, ponieważ białorusini ci, pod wpływem agitacji sfanatyzowanych księży zaczęli siebie uważać za polaków. Dlatego też pod owymi 40 proc. należy rozumieć nie polaków, lecz katolików w ogóle. Stąd nasza propozycja: powinni być dwie kurje wyborcze, jedna wybierająca 60 proc. -rosyjska, druga 40 proc. katolicka.

Kiedy była podnoszona kwestia, jakim ma być ziemstwo w kraju zachodnim - odpowiedziano - ogólnopaństwowe z pewnymi korektami. Naszem zdaniem korekty te mają być następujące:

- 1) Stanowność, która w danym razie ma pewne odrębne znaczenie. W r. 1905 polacy nalegali na to, żeby włościanie nie byli zmuszeni wybierać tylko włościan, ponieważ w ziemstwie nie potrafili oni bronić naleyście swych interesów. Przeciwnie, włościanin najlepiej broni

MOWA PRZEDWYBORCZA,

wygłoszona dn. 9 (22) września 1909 r.

przez

H. Korwin-Milewskiego

w Klubie Szlacheckim w Wilnie.

Wygłoszona przed zebraniem przedwyborczym dn. 9/22 września r. b. mowa obecnego posła do Rady Państwa p. Hipolita Korwin-Milewskiego wzbudziła żywe zainteresowanie między tymi, co ją słyszeli, a jeszcze bardziej między tymi, którzy o niej słyszeli. To skłania nas do zamieszczenia mowy tej w specjalnym dodatku do „Kurjera Litewskiego”. Na liczne prośby byłyzażyciel „Kurjera” zadal sobie trud utworzenia przemówienia swojego, o ile mu pamięć służyła, w jego pierwotnej formie. Wynurzenia posła naszego zawierają między innymi rzuć oka na obecną sytuację polityczną, nakreślony z właściwą p. Korwin-Milewskiemu trafnością, sądzimy też, iż poglądy jego, przedstawiające się do szerokiego ogółu, w zakresie orientacji politycznej cenną będą wskazówką.

(Przyp. Red.).

Szanowni Panowie! Przedewszystkiem chcę podziękować mojemu czełgodnemu kole-
cie, p. Pawłowi Kończy, który swoją
gościnnością i gościnnością daje mi
możliwość po trzech latach znowu
rozmówić z większością moich
wyborców. Drugie podziękowanie,
nie mniej serdeczne, stosuję do Was
wszystkich, Szanowni Panowie i dro-
gi Wyborcy, nie tylko za ten wiel-
ki zaszczyt, którym mnie wówczas
przyrzeczyście, lecz jeszcze więcej za
moralne poparcie, którego ciągle
znajdowałem z Waszej strony: jedno
drugie uważam jako najchlubniej-
szą ozdobę już długiego życia.

Nie sądzę żeby było potrzebne,
nawet żeby wypadało, zdawać Wam
czegoś sprawozdanie z mojej
czynności w Radzie Państwa, bo
wiem, że jest Wam wszystkim zna-
nym. Winienem Wam jednak wy-
tłómaczenie tych przyczyn, które spo-
dobały moją dymisję, choć na-
pisała ona po upływie trzechle-
tniego terminu, na który się z Wa-
szym związalem—oraz jednego mojego
wystąpienia w rozpoczętej przed
półtora rokiem akcji słowiańskiej.
Jaka ta akcja miała właściwie cha-
akter pozaparlamentarny: nie mniej
którzy ją popierali, i ci, któ-
rzy, jak ja, odmawiali jej wszel-
kich szans powodzenia, nie zwróci-
li na siebie tyle uwagi, gdyby
nie widzieli w nich przedstawicieli
polskiego społeczeństwa.

Użyteczniejszym niż te osobiste
wspomnienia, może być streszczenie
przed Wami, Panowie, że tak po-
wiesz, filozofii tej trzyletniej kam-
panii parlamentarnej, w której bra-
łem udział. Oddzielne fakty jej
zresztą nie wyszły z Waszej pamię-
ci. To pozwoli określić stan obec-
ny i widoki na przyszłość. Nie bez
przedstawia w oczach czynnego jej
współpracownika ta Izba prawodaw-
cza, do której jutro wybieracie po-
dobnie, a to znowu pozwoli mi wyja-
snić moje własne stanowisko wzglę-
dem tych wyborów.

Takimi będą przedmioty mojej
mowy, Panowie, przenowy.

Zarodek całej sprawy, która spo-
dobała moją dymisję, znajduje
się w projekcie, powstałym wśród
centrum, przedłużenia do koń-
ca sesji mandatów wszystkich człon-
ków z wyboru, które upływały mie-
się 16 marca i 6 maja (s. st.). Od
początku dziwiło mnie, że ten
projekt wniesiony został w imieniu
Rządu, co byłoby najstosowniej-
szem, z inicjatywy samych zaintere-
sowanych, bez wiedzy i może wręcz
ich wyborców. Ale skoro się
dowiedziałem, dzięki zakulisowym
informacjom, że skrytym motorem
akcji jest pewien wysoki urzę-
dnik, wiadomy preparator rozma-
itych antypolskich mikstur, stało się
mnie jasne, że ów projekt sta-
nowi podglebie już kilkukrotnie
prowincjonalnej prasie projektu p.
Pichno; wiedziałem znowu, że Rząd
nie tak blahe, stosunkowo, kwestji
nie zdecydował się na nowy akt 3
czerwca i że nawet życzy sobie po-

zostać na stronie, ponieważ teren w
sferach decydujących jeszcze nie był
przygotowany. Tymczasem nadcho-
dziła przerwa nowego roku, same
przedłużenie mandatów nie mogło
już być ostatecznie przeprowadzo-
nem przed końcem stycznia; pozo-
stawałoby tylko sześć tygodni do
nowych wyborów. Przeprowadzić
przez ten czas t. zw. lex Pichno by-
łoby już niemożliwym. Wiedziałem
także, że cała prawica, nad którą
centrum z lewicą, razem, mieli prze-
wagę tylko dzięki naszym głosom,
będzie głosowała przeciw przedłu-
żeniu mandatów, w nadziei, że nie-
obecność w ciągu siedmiu tygodni,
to tych to owych kilkunastu człon-
ków z wyboru, da jej czasową prze-
wagę i pozwoli skutecznie jakiś
mądry planik dla wysadzenia w po-
wietrze obecnego ministerjum. Przy-
znam się, że wszystkie te kombina-
cje i nawet wygoda samych człon-
ków z wyboru, lub też regular-
ność pracy komisji i t. d. w moich
oczach nie miały żadnej wartości,
skoro rzecz szła o poważny interes
krajowy. Zatem odrzucenie projek-
tu przedłużenia mandatów, zdawało
mi się absolutnie obowiązującym.

Wy tłumaczyłem to wszystko przed
Związkiem obu kół, moja myśl zo-
stała uwzględniona i postanowiono
walczyć z przedłużeniem mandatów.
Wiedząc, że do tego przesunięcia się
kilkunastu głosów dość, żeby wnio-
sek przewalić, spokojnie wyjecha-
łem do Paryża dla zasięgnięcia rady
lekarzkiej. Ze zdumieniem dowie-
działem się, że Związek, choć na
naradzie centrum przemawiał i głoso-
wał przeciw wnioskowi, na plenar-
nem posiedzeniu podał swoje głosy
za, i niemi przeprowadził uwzględnie-
nie projektu. Nie mniej, gdy 28
stycznia debatowało się przyjęcie
ostatecznej redakcji komisji, prze-
mawiałem przeciw, mniej w nadziei
obalenia projektu, jak dlatego, że
zdawało mi się, że wypowiedziane w
mojej nieobecności przez p. Durno-
wo pogroźki skierowane do naszego
przedstawicielstwa, które prezes Kola
litewskiego p. Olizar przyjął w mil-
czeniu, nie powinny zostać bez odpo-
wiedzi.

Przewidziane skutki prędko na-
stąpiły. Już przed ferjami wielka-
nocnem projekt p. Pichno został
formalnie wniesiony i rozesłany człon-
kom Izby. Po tych ferjach, widząc,
że koło i jego prezes o żadnych
środkach obrony nie myślą, zapropo-
nowałem rozesłanie pp. członkom
Rady kontr-memorjału; nastąpiły pro-
jekty, krytyki, narady i w końcu—
nic. Wówczas rozesłałem na swoją
rękę memorjał, którego treść zda-
je mi się była ogłoszona w tu-
tejszej prasie. Po nim nastąpił me-
morjał, także osobisty, mego kolegi,
Ksawerego Orłowskiego, srogo nie-
dawną krytykowany w jednej z ga-
zet wileńskich, jak sądzę jednak,
wielce niesprawiedliwie. Orłowski
zaszczylił mnie zasięgnięciem mojej
radą, i całkowicie aprobował jego
pracę, bo szukał nie taniej popularno-
ści, lecz skutku: pisał nie dla zado-
wolenia prenumeratorów, lecz dla
przekonania członków rosyjskiej Izby
prawodawczej, i pisał to, co było
zdolnem ich przekonać.

Gdy przybliżał się dzień debatów
w Izbie, Związek, zgodnie z moją
propozycją, odrzucił podaną myśl
aby wszystkich dziewięciu przed-
stawicieli gubernji zachodnich wy-
stąpiło o gubernji, co poprostu za-
nudziłoby słuchaczy, i zdecydowa-
wał, że będzie tylko dwóch mówców;
jako zasadniczego, mającego wal-
czyć z już wiadomą argumentacją
p. Pichno, wyznaczono, bardzo słusz-
nie, p. Edwarda Wojniłowicza,
co nigdy na mównicy się nie po-
kazał, ale cieszył się wśród wszy-
stkich grup osobistym poważaniem,
które mu zapewniało uwagę; prócz
tego niezbędny był atleta słowa, za-
wsze gotowy do walki z nieprze-
widzianym przeciwnikiem i nieprze-
widzianą bronią, i takiego Związek
upatrzył w osobie p. Olizara.

Gdy, zaraz po p. Pichno, p. Sto-
łypin w imieniu Rządu przyłączył
się do wniosku, opierając się na
zupełnie niespodziewanym twierdze-
niu, że ordynacja wyborcza, co do
dziewięciu gubernji zachodnich była
„od początku” uważana jako wadliwa,

i zakończył oświadczeniem, że dla
ułatwienia przeprowadzenia przez
wszystkie stadia tego wniosku, rząd
bezwzględnie wniesie do Dumy pra-
wo o przedłużeniu znów naszych
dziewięciu mandatów do końca przy-
szłej sesji, a tymczasem prosi Radę
Państwa oddać wniosek do komisji,
nikt z naszej strony ust nie otwo-
rzył. A można było odpowiedzieć,
i twierdzenie p. Stołypina było tak
ryzykownem, że dawało motyw do
repliki, która w każdym razie zo-
biłaby wrażenie na opinii, a możeby
nawet otworzyła oczy niemałej
liczbie chwiejnych członków Izby:
albowiem nie tylko w 1906 r. ordy-
nację wyborczą dla naszych gu-
bernji uważano jako zadawalnia-
jącą, lecz jeszcze bardziej zadawal-
niającymi wydawały się rezultaty
wyborów. Lecz to wszystko było
wówczas: cały sęk sprawy, to poro-
wnanie między owym „wówczas” i
obecnym „teraz”. Trudno sobie wy-
obrazić wdzieczniejszy temat repli-
ki. Co do zastrzeżenia prezesa, p.
Akimowa, że wniosek p. Stołypina
o oddanie projektu do komisji za-
myka dyskusję, ono nie stałoby
na przeszkodzie takiemu mówcy,
który nie truchleje przed przeszkod-
dami, ponieważ p. Stołypin wystąpił
nie jako członek Rady, lecz jako u-
osobienie Rządu, a rząd nie wtrąca
się w metodę pracy Izby; może w
tym względzie dać Izbie tylko radę,
a nie stawiać wniosku, i zasada re-
gulaminu Izby, że wszelkie wystą-
pienie ministra na nowo otwiera dy-
skusję i daje prawo odpowiedzi, zo-
stała w całości.

Dlatego p. Olizar, którego to
była właśnie rola, nie skorzystał z
tego prawa i ze wspaniałego tema-
tu, danego mu przez p. Stołypina—
nie wiem. Ja zaś mógłbym
tylko, na mocy art. 16 regulaminu,
przemawiać „dla poparcia mówcy
przez Związek do przemówienia w
danej sprawie upoważnionego”, lecz
nie znalazło się kogo popierać.

Mnie zdało się niemożliwym wszyst-
ko tostrawić w milczeniu, a jeszcze
mniej, zgodzić się na nowe przedłu-
żenie mego mandatu, i przejść mimo woli
moich wyborców z godności przed-
stawiciela społecznego na czasowego
czynownika najwyższej klasy. Dym-
misja do takiego stopnia była wska-
zana, przynajmniej co do mnie, że
kilku moich lepszych znajomych
między starymi dignitarzami, jak
mi się przyznali, oczekiwali jej. Tu
na miejscu zapomniałem się u pana
Stołypina, że przedłużenie mandatów
będzie proponowane nie do końca
sesji, jak się mylnie wyraził, lecz
za rok od zatwierdzenia prawa; że
zatem gub. wileńska nie zostanie
pozbawiona nowego przedstawiciela,
i widząc, że teraz wszystko zależy
od Dumy Państwowej, starałem się
nadać tej dymisji taką formę, która
mogłaby zrobić wrażenie na Izbie
niższą i pozwoliłaby mi wypowie-
dzić część tego, czego wypowie-
dzieć z mównicy nie mogłem, dzięki
zastrzeżeniu Związku, a co powinno
było być wypowiedzianem. O ile mi
się udało, Panowie wiecie. Sądzę,
że nie powiecie, że postąpił z ujmą
dla waszych interesów lub waszej
godności.

Co do sprawy słowiańskiej, na
walewnym posiedzeniu wszystkich po-
słów polaków z obu izb, które mia-
ło miejsce przed pierwszym przy-
jazdem p. Kramarza i innych do Pe-
tersburga, wypowiedziałem się sta-
nowczo w tym sensie, że, oprócz na-
turalnie najbardziej uprzejmego o-
bejścia się ze słowiańskimi gośćmi
przy spotkaniu na neutralnych
gruntach, oficjalni przedstawiciele
polaków w Państwie Rosyjskiem
żadnego czynnego udziału w tej
akcji brać nie powinni. Na czele
tej akcji ze strony rosyjskiej
stali przeważnie zwolennicy gwał-
townej rusyfikacji; zatem nasz u-
dział obok takich przedstawicieli ro-
syjskiej umysłowości, rosyjskiego
sumienia w tych braterskich mani-
festacjach nie mógł być niczem in-
nem, jak obustronną obłądą, a co
jeszcze gorzej, ludzeniem słowian
zachodnich co do tego, co im obie-
cuje przyjaźń i hegemonja północ-
nego obrzyna.

Pogląd mój spotkał, szczególnie
ze strony p. R. Dmowskiego, sta-

nowczy odpór, z nim na czele cała
grupa polskich posłów wzięła udział
przeważnie figuracyjny, w słowiań-
skich demonstracjach w stolicy i za-
kordonem, a tymczasem stopniowe
odwołanie wszystkiego, co polacy
zyskali w 1905—6 latach, szło swoim
trybem, przy najserdeczniejszym po-
parciu koreżysera p. Dmowskiego w
słowiańskim dywertysmencie człon-
ka Rady Państwa, p. Krasowskiego;
nowy przyjazd p. Kramarza i jego
towarzyszy do Petersburga zetknął
się właśnie z wystąpieniem p. Sto-
łypina w obronie projektu p. Pichno
i moją dymisją.

Tak, jak uprzednio, zostawałem
na stronie od wszystkiego i tylko
przez ciekawość, jako członek klu-
bu działaczy społecznych, poszedłem
na ostatnie, pożegnalne „posiedzenie”.
Sala była przepelniona; żadnego za-
miaru wystąpienia nie miałem, lecz
gdy wysłuchał bardzo dyplomatycz-
nej „bardzo wystudjowanej, ale peł-
nej skrytego rozczarowania i niedo-
mówień mowy p. Dmowskiego, wy-
wołanej zresztą przez kilku obecnych
polaków, nie wytrzymałem i wyrze-
kłem krótką, nieco jaskrawą — jak
bywa przy improwizacjach — mo-
wę, w której bez ogródek postawi-
łem punkta nad ...

Treść była pokrótce następująca:
Odrzucając marną uczuciowość, na
której nie stało się nie buduje,
prawdziwych dźwigni, zdolnych po-
ruszyć mniejsze, pokrewne, lecz dba-
jące o swoją egzystencję rasową,
plemioną, w stronę większego, moż-
na upatrzyć tylko trzy: pierwsza, to
jest jego potęgą, mogąca służyć za
opór dla innych — atrakcja kultu-
ralna, i nakoniec niebezpieczeństwo
ze strony wspólnego wroga, i wspól-
na ku niemu nienawiść. W danej
chwili Rosja dowiodła w sprawie
bośnijskiej, że dla słowian zachod-
nich aktualnej, czynnej siły ona
nie przedstawia. Atrakcja kultural-
na może być dla Rosji ku słowian-
skiemu zachodowi, ale nie odwrot-
na; co zaś do wspólnego niebezpie-
czeństwa ze strony germanizmu, to
skoro staje się jasne, że, po krót-
kiej przerwie, polityka rosyjska
względem tych słowian zachodnich,
którzy już weszli w zakres jej pa-
ństwowości znów staje się nie poli-
tyką pojednania, lub ochrony jedno-
ści państwowej, chociażby admini-
stracyjnej, lecz polityką rasowego
tępienia, to dla słowian zachod-
nich powstaje pytanie, jaka forma
tępienia rasowego zachodnich na-
rodowości słowiańskich jest bar-
dziej niebezpieczna: niemiecka, przez
stopniowe i naukowe zaszczepianie
tuberkulozy, ale wśród wszystkich
wygod i słodczy wysokiej cywili-
zacji, czy też druga—wśród wstręt-
nych warunków życia pod ciężkimi
ciosami kijem?

Ta mowa wywołała nie małe wra-
żenie, sykanie, oklaski, wykrzyki-
niki: „nieprawda, łże...” a także:
„prawdę mówi, i to dla nas wstyd”,
słowem cały skandal. Bądź co
bądź, po tej ostatniej biesiadzie
wszechsłowiańskiej, p. Kramarz sta-
nowczo stanął na tym punkcie, że
dopóki Rosja nie zmieni gruntownie
swej polityki względem poddanych
jej polaków, o żadnym braterstwie
ze słowianami zachodnimi mowy
być nie może; jeśli moje wystąpie-
nie w czemkolwiek przyczyniło się
do wyjaśnienia tej prawdy, to go
nie żałuję.

Przejdę, Szanowni Panowie,
do rozpatrzenia tej sytuacji polity-
cznej, która się wytworzyła po prze-
biegu trzyletniego okresu, w ciągu
którego miałem zaszczyt być Wa-
szym przedstawicielem, i z którą
powinnością się liczyć przy nadaniu
nowego mandatu.

Ta filozofia przedstawia się dla
mnie w następujący sposób:

Od 1906 roku mamy do czynie-
nia i jako obywatele państwa rosyj-
skiego i jako polacy, z dwiema siła-
mi, które w krajach szczęśliwych
mało się różnią, a w Rosji stoją
wzajemnie conajmniej na stopie
zbrojnego pokoju: to są rząd i
społeczeństwo rosyjskie. Ale to sło-
wo „rząd”, określające ogólnie ca-
łość organów państwowych, obejmu-
je w rzeczywistości dwa zupełnie
oddzielne czynniki. Z jednej stro-
ny, źródła prawodawstwa i norm

obowiązujących, t. j. konstytucję
państwową i ustroj polityczny,—z
drugiej strony tę ogromną maszynę,
która ma wprowadzić w życie pra-
wodawstwo i normy obowiązujące,
t. j. administrację. Większość ludzi
główną uwagę swoją zwraca na
pierwszy czynnik, w przekonaniu,
że od ustroju politycznego zależy
cały rozwój życia państwowego i
narodowego. To wielki błąd. Albo-
wiem szczęście, dobrobyt materjal-
ny i moralny danego kraju, wcale
nie zależą bezpośrednio od form po-
litycznych, ustroju państwowego, od
tego czy firmą jego jest rzeczo-
spolita, czy monarchja; ta ostatnia
konstytucyjna czy absolutna; to roz-
maite formy państwowości. To nie
są cele, to są środki. Do połowy
przeszłego wieku, pruska monarchja
absolutna dostarczała swoim podda-
nym sumę porządku, dobrobytu i
swobody osobistej, za którą jeszcze
wzdycha konstytucyjna Rosja; w tym
samym czasie i daleko później, po-
łudniowe rzeczypospolite amerykań-
skie dostarczały swoim obywatelom
tylko sumę bezładu, ucisku i kra-
dzieży publicznej, do której nawet
Rosja nie doszła. Los spokojnego
obywatela, zajętego swoją rolą czy
swoim warsztatem, nie zależy od
tego, kto opracował głupie prawo:
parlament czy dyrektor departamen-
tu, ani od tego, czy ten urzędnik,
który kaleczy mądre i sprawiedliwe
prawo był mianowany przez króla
w koronie, czy prezydenta w cylin-
drze. Dobrobyt i rzeczywista swo-
boda przeciętnego obywatela zależą
nie od dobrej konstytucji, lecz od do-
brej administracji i pierwsza służy
tylko dla ustalenia drugiej i utrzy-
mania nad nią niezbędnej kontroli.
To też można być świadkiem jedno-
cześnie ogromnego postępu ustroju
politycznego: naprzykład wprowa-
dzenia zasady przedstawicielstwa,
społecznego w prawodawstwie i re-
gresu w stosunkach rządu do pojedy-
nicznego obywatela. Otóż niestety
nie tylko administracja rosyjska jest
najgorszą, jaka obecnie istnieje w
świecie chrześcijańskim, ale w do-
datku ona taką chce być i przez
czas dłuższy taką być musi.

Ona taką chce być, bo właśnie
na wadliwościach ustroju i dział-
ności maszyny administracyjnej opar-
te są środki do życia, różne korzy-
ści i próżność tych selek tysięcy
ludzi, którzy stanowią jej tryby.

Ona taką musi być, bo z tą do-
wolną władzą i faktyczną nieodpo-
wiedzialnością, które stanowią jej
główne wady, związana jest na czas
dłuższy sama egzystencja państwo-
wa. Rzecz w tem, że wszak ani
państwo ani samo społeczeństwo nie
mogą żyć bez jakiejś administracji
wewnętrznej, jakichś sądów, jakiejś
policji. Ale im nie można dawać
do rąk takich narzędzi, których
ostatecznie użyć nie potrafią; doje-
chać jakkolwiek do mety w wózku
na drewnianych osiach potrafi każda
baba, a dla jazdy samochodem, tre-
baa nie tylko równej drogi, trzeba
sofiera. Dajcie babie samochód, ona
albo nie będzie śmiała ruszyć go z
miejsca, albo go rozsądzi. Personel
administracyjny rosyjski, wzięty wo-
góle, stoi od góry do dołu na takim
poziomie. Wykazuje, od redakcji
praw konstytucyjnych do redakcji
kwitów pocztowych, taką nieudol-
ność w porównaniu z administracja-
mi innych krajów, że ograniczyć go
używaniem tak dokładnego i delika-
tnego narzędzia, jakim jest legal-
ność zachodnia, jest to skazać go
na absolutną nieczynność, jak w koń-
cu roku 1905, co na długą metę,
zwróciłoby państwo do czasów Scy-
tów i Sarmatów.

Tak będzie, póki nie będzie doko-
nane z jednej strony przekształce-
nie całej maszyny administracyj-
nej, z drugiej wyhodowanie i wy-
kształcenie nieistniejącego obecnie
typu urzędnika państwowego, na
miejscu obecnego czynownika. Ale,
jeśli o pierwszym zadaniu wszyscy
mówią, bo to znów okazja do stwo-
rzenia tysięcy urzędów i manipu-
lacji dziesiątkami milionów, to o dru-
gim zadaniu, mianowicie o stworze-
niu, drogą całkowitej reformy usta-
wy o służbie państwowej, nowego
typu urzędnika państwowego, odpo-
wiadającego nowemu niby ustrojo-

wi, nikt nie myśli, nawet tak hojnie w obietnicach programowych kadeci. Rzecz prosta. Oniemiał cała ta z. inteligencja rosyjska żyje z państwowego „pierogu“, albo w pobliżu jego się obraca; więc — niech będzie pierog, niech rośnie i nie traci soków, całe pytanie — kto go będzie gryzł.

Nie o wiele większe, niż na rząd, nadzieje, można pokładać w społeczeństwie rosyjskim. To społeczeństwo, jeśli wytracić z niego masę ludzi żyjących na koszt kasy państwowej, polityczne opinie których mogą być tylko mniej więcej trafne przeciwieństwo tego co ma się jutro podobać „naczelstwu“, stanowi bardzo nieliczną, cieniutką w porównaniu z setką milionów ciemnego ludu, warstwę i przez to samo daleko słabszą, niż na Zachodzie, siłę. Jeszcze bardziej niż nasze polskie społeczeństwo, jest ono skłonne do krótkotrwałych porывów entuzjasmu i długoletniej apatii. Sroga nauka, którą otrzymało w 1906 roku przez całkowite zrabowanie i zniszczenie 3,000 majątków, po czym wszystko z największą łatwością wstrzymano, na długie lata oduczyło je od „liberalizowania“. Prócz tego ta partja, która początkowo wzięła na siebie absolutne kierownictwo społeczeństwem rosyjskim, nie mówiąc o tem, że w 1906 roku wyglądało, jak gdyby skrytem jej hasłem było sławne „idź precz abym sam siał“, ta partja popełniła trzy ogromne, i na długie lata niepowetowane błędy, które również jej śladem popełniła z wielu względów do niej podobna polska partja narodowo-demokratyczna. Oble nie potrafiły ocenić ani swoich, ani przeciwnika sił, obie z dziwną pogardą patrzyły na pierwszy element stałego postępu, którym jest stopniowanie; obie zmarnowały daną im dzięki omyłkom przeciwnika korzystną chwilę, którą była dla kadetów pierwsza Duma, dla endecji druga. Ich parlamentarne frakcje, ta w jednej, ta w drugiej Dumie, mogły przyjąć wcale szerokie ofiarowane im zadatki, zrealizować je, skonsolidować, w zamian zgodzić się na niewygodowane żądanie podtrzymania tego, bez czego żadne państwo żyć nie może, np. budżetu lub prawodawstwa bieżącego, a potem... potem zobaczyć. Lecz wyglądało jak gdyby obaj utalentowani liderowie tych dwóch partji wyobrażali sobie, że na tej wysokości, na której stanęli, obecna i przyszła ludzkość od nich wymagają, aby tak jak Mojżesz, Konfucjusz lub Mahomet, wypowiedzieli ostatnie słowo, na wieki wieków, streścili polityczny i socjalny Dekalog lub Koran, zawierający alfę i omegę potrzeb narodu, do którego przyszli ludzie i przyszłe pokolenia nie dodać nie śmiały, od którego wiersza ustąpić nie można, bo wszystko święte, i powinno kończyć się na ultimatum: „bierzcie wszystko, albo niech wszystko diabli wezmą“. Naturalnie przeciwnik, przyparty do ściany, zmuszony przejść od ostrożności do rozpaczliwej energii, nie nie wziął... a wszystko diabli wzięli.

Takie omyłki ciągną za sobą długoletnie następstwa, czasami wieczne. Dla odegrania się trzeba się doczekać, albo takiego gruntownego przekształcenia umysłowości rosyjskiej, któreby przeniknęło nawet wyższą i niższą kastę czynowniczą, a to może stanowić nader długą procedurę — albo okoliczności, która znowu zmusi wyższą administrację szukać ratunku u społeczeństwa. Ta chwila nadejdzie z pewnością. Nie sądzę, żeby ją wywołał jakiś nowy wybuch akcji terrorystycznej: krwawa manifestacja dnia 9 stycznia 1905 roku, którą organizował szpieg Gapon, morderstwo Plehwego i w. ks. Sergiusza, które organizował szpieg Azew, moskiewska strzelanina uliczna, w której rej wodziła szpieg Zuczenko, wszechrosyjski, strejk, do którego należało dużo eksceleńcy, wszystko to się nie daje prędko powtarzać: przyszedł czas, że nie masz głupich, nawet między zandarmami i rewolucjonistami. Nie wywołał tego przez czas dłuższy i komplikacje zewnętrzne; one będą uniknione kosztem choćby najcięższych ustępstw, bo przez pewien czas nie można wystawiać niższych warstw ludowych na tak ciężki egzamin patryjotyzmu i karności, jakim jest wojenna mobilizacja. Ale rządy obecne same dojdą drogą pe-

wną, fatalną, do dobrowolnej kapitulacji, której dożyją ci między wami, którzy dopiero zaczynają siwieć lub łysieć, mianowicie drogą marnotrawstwa i nierozwiązalnych zawiłań ekonomicznych i finansowych. Tam, gdzie się ludność rocznie powiększa więcej, niż o dwa miliony ludzi, a ogólna produkcja się zmniejsza; gdzie wydatki zwyczajne, bez kosztów wojny i narosłych od nich procentów, powiększają się o czterysta milionów rubli w ciągu lat 5; gdzie deficyt kolejowej eksploatacji w 6 lat, przy wzrastającym trafku i podniesionych taryfach, wzrasta od dwudziestu milionów do 120 rocznie, gdzie od soldata do senatora trzeba wszystkich łagodzić podwyższonymi pensjami, aby się nie buntowali i nie strejkowali, tam bezwarunkowo, jak w Anglii XVII wieku, we Francji XVIII, w Austrii XIX, tam nie może nie nastąpić dzień, kiedy trzeba będzie szukać ratunku u tegoż społeczeństwa, gdzie znowu trzeba będzie wszystkim się zalecać, kiedy p. Mienszykow, który w ostatnim tygodniu przed rozwiązaniem pierwszej Dumy, już błagał o kadeckie ministerjum, będzie wyciągał błagające ręce do... żydów. Oby tylko wówczas rosyjskie i polskie społeczeństwo znowu się nie dało ogłuszyć przez muzykantów na popularnych bębnoch!

Już się domyślam, Panowie, czego polacy, jako tacy, oczekiwać mogą w chwili obecnej od tych dwóch sił: rządu, w postaci obecnego ministerjum i rosyjskiego społeczeństwa, w postaci trzeciej Dumy. Od pierwszego nic, lub mniej, niż nie, gdy szczucie polaków zawsze było uważane, jako najlepszy synapizm od gorączki liberalnej wewnętrznej. Od drugiej, jak dziś — mało. Dziś w Izbie niższej dominują partje paździenikowców i umiarkowanej prawicy; ta ostatnia różni się właściwie od umiarkowanej tylko tem, że w niej przeważa dobre wychowanie, a w tamtej — złe. Paździenikowców w naszym kraju, dzięki kilku miejscowym kuglarzom, przyjęto o czerniać daleko więcej, niż na to zasługują. Nie mówiąc naturalnie o pewnych farbowanych lisach, jakich np. widzieliśmy w Mińsku, większość ich składa się z ludzi porządnych, wykształconych, dobrej wiar, gorąco przywiązanych do swojej ojczyzny, i doskonale świadomych tego, że jej zbawienie wymaga całkowitego zerwania ze starym ustrojem. Do nas nie czują żadnej miłości, i nie widzę, dlaczego mieliby ją czuć. Ale też nie mają nienawiści, i są pewne granice niesprawiedliwości, przed którymi się wzdrągają; dowiedli tego, niemiłosiernie kierując pichnowską maszynką. Ale po większej części ziemianie i ludzie pracy, jeszcze żyją pod koszmarem hec 1905 — 1906 lat.

Dużo z nich ciężko wówczas ucierpiało. Otóż mają przed oczyma tę przepaść, widzą we władzy obecnej administracji jedyną deskę ratunku, i choć wiedzą że deska zbutwiała, trzymają się jej, aby w tej chwili nie runąć. A na czele administracji stoi obecnie wielki artysta, który na tej strunie gra, jak istny Kubelik.

Słowem, Szanowni Panowie, teren dla pracy nie bogaty, i w porównaniu z nadziejami 1906 roku, trzeba spuścić z tonu. Wówczas wybieraliśmy się do stolicy z nożycami i maszyną do szycia, pewni że będziemy budowali nowe szaty z całego materiału: dziś musimy tylko łątać i cerować.

Teren ten jest jeszcze mniej wdzięczny w Izbie wyższej niż w niższej: nie dlatego żeby w niej brakowało, przy większym doświadczeniu i fachowości niż tam, jasnego poglądu na potrzeby czasu, ale brakuje pierwszej zalety wszelkiej Izby prawodawczej, mianowicie niepodległości. Połowa Rady Państwa żyje pod ciągłą groźbą przetasowania jej w dzień 1 stycznia, a nikt nie ma ochoty przejść na pensjonowanego inwalidę; w drugiej połowie z wyborów, jest również nie mało ludzi, którzy dzięki swoim znikomemu zupełnie podlegają tym samym wpływom, tak że zbyt często głosowanie w Radzie Państwa zależy od różnych pobudek innych, niż przekonanie.

Pomimo to, walczyć trzeba, i w następującej sesji będą przedmioty do walki. Prawo o swobodzie wyznań i prawo o własności włościach-

skiej, któremu my, ziemianie, musimy się żywo interesować jako byli opiekunowie tego ludu, już wyszły z rąk Dumy. Obowiązkowo ma przejść wprowadzenie do nas ziemstw, usiłek różnymi ograniczeniami dla ziemian polaków; mogą przejść prawa o wszechstanowej gminie i o skasowaniu serwitutów.

Ala walka będzie ciężka, i odbędzie się w niepomyślnych warunkach, i w niewiadomym otoczeniu. Kogo wybiorą tamte gubernie, kogo Królestwo? Po moich doświadczeniach, w moim wieku, przy moim zdrowiu, zadanie niepojętne. Wierzę mi, Szanowni Panowie, że jeśli zgadzam się przyjąć nowy mandat, to wyłącznie, jak mówiłem, przez głęboką wdzięczność za wasze chlubne uznanie, i dbałość o wasze prawa, których moje doświadczenie może pozwoli mi lepiej bronić, niż komu innemu. Ale, jakem pisał w mojej do was odezwie, nie zgadzam się na przyjęcie zobowiązań, które mogłyby okazać się sprzecznymi z wiernością mojemu programowi albo interesom tego kraju.

Nie powtarzając już znanych Wam argumentów, muszę jednak odpowiedzieć na argumentację przeciwną, i sądzę że ją całą znajduję w obszernym artykule kierownika „Gońca Wileńskiego“ p. Hłaski, zasadniczego zwolennika nieograniczonej solidarności i karności. Wogóle szanowny publicysta mówi o solidarności i o grupach parlamentar-nych tak, jak one powinny być, a ja mówię o nich tak, jak one są. I obawiam się, że kiedy przyszłe Koło w czemś odstąpi od narysowanego w „Gońcu Wileńskim“ ideału, to mnie „Gońiec“ od tych niedoskonałości nie wyratuje.

Przedewszystkiem muszę zwrócić waszą uwagę na jeden, może najważniejszy, szczegół: czy mowa o jakichś grupach i kołach na księżycu, poza obreębem czasu i przestrzeni, czy o Kołach litewskich, polskich i ich związku w Radzie Państwa rosyjskiej? Otóż ja sądzę, że kiedy się mówi o grupach parlamentar-nych i zaleca się udział w nich, to nie dlatego, że „Koło“ się uważa jako kościół, do którego trzeba należeć pod strachem wiecznego smażenia się w piekielnym oleju; przypuszczają się, że Koło przyniesie posłowi, a posłowi Kołu, jakąś siłę dodatkową, że ich pojednanie spotęguje wartość specyficzną i posła i Koła.

Otóż muszę zaznaczyć, że jeśli nasze Koło w Dumie, dobre czy złe, miały jakieś swoje znaczenie oddzielne w swojej Izbie, swój kierunek i swoją politykę, to w Radzie Państwa i Koło litewskie, i związek obu Kół, to było tylko jedno samo ludzenie. Koło litewskie w ciągu trzech lat nawet nie zdobyło się na własny regulamin, komisja parlamentarna w ciągu trzech lat, pomimo niezliczonych ku temu okazji, nie dała członkom związku na sali ani jednej wskazówki, i nawet jej czterej dygnitarze zasiadali w różnych miejscach, daleko jeden od drugiego.

W miesiąc po rozestaniu przez p. Pichno swego memoriału w sprawie ograniczenia polskich mandatów, Koło i Związek jeszcze się nie zdobyły nawet na zapoczątkowanie kontr-memoriału, i te dwa, które były rozestaniem członkom Rady, były dziełem osobistym: pierwszy mojem, drugi p. Ksawerego Orłowskiego. Nakoniec, jako czynnik w Izbie, związek miał egzystencję poprostu nominalną. Od początku wszedł do składu grupy centrum i dobrze zrobił. Ale niedobrze zrobił, że dał się całkowicie potknąć. Miał, na równi z dwiema innymi podfrakcjami, pełne prawo do oddzielnego głosowania, ale wówczas, kiedy jedna z tych podfrakcji, t. zw. Neuhardowska, tak zrzeczenie tego prawa używała, że stała się arbitrem wszystkich postanowień Izby, Związek ani razu na to sobie nie pozwolił, nawet kiedy szło o własną skórę, jak w kwestji o przedłużeniu mandatów. Więc powstaje pytanie, jaką siłę ta grupa dawała posłowi wileńskiemu, któryby on nie miał jako członek centrum i jaką on mógł siłę przynieść grupie, skoro ta zasadniczo jej zużytkować nie chciała.

Właściwie Koło litewskie i związek grały rolę komisjonerów, którzy otrzymali posła z rąk wyborców, i zdali go, starannie związanego i upakowanego, w ręce centrum, tworząc na jego korzyść wśród własnych

członków żelazną karność, której to centrum od innych swoich adherentów nie wymagało. Słaby interes!

Prócz tego dwa ustępy „Gońca“ szczególnie zwracają moją uwagę. P. Hłasko powiada, że: „Nikt z posłów nie powinien poddawać się uchwalamu Koła, które, jego głębokiem przekonaniem, są grzechem wobec narodu.“ Co to znaczy? Wszak sędzią tego co stanowi „grzech“, mam być ja sam? W takim razie p. Hłasko daje mi radę zupełnie kobiecego charakteru. Przypominam to mi damę lekkiego prowadzenia, która zwierza się przyjaciółce: „Wiesz, wierności jednemu mężczyźnie dotrzymać nie można, żadną miarą nie można; — ale obiecać trzeba, zawsze: to lepiej wygląda.“ Otóż, Panowie, ja jestem dość starą babą, żeby mieć prawo kompletnej cnoty, i nie być zmuszoną obiecywać tego, czego nie mam zamiaru dotrzymać.

Dalej p. Hłasko wyobraża sobie, że: „Najjaskrawsze nawet oświadczenia jednostki nie robią takiego wrażenia, jak daleko mniej udułna deklaracja grupy.“ — i że „p. Korwin-Milewski, dopóki zasiada w Kole, ma szanse przekonania kolegów, wpłynięcia na ich uchwały — znajdując się po za Kołem, poprzestając by musiał na wygłaszaniu mów, nie oddziaływających bynajmniej na uchwały ani Izby, ani Koła.“

Tu dwa wielkie błędy. W istocie rzeczy, każdy kto słyszał w Izbie żywą, umiejętnie i z przekonaniem wypowiedzianą mowę, i jakąś grupową deklarację, wie, że ostatnie mogą bardzo podobać się czytelnikom sprzymierzonych gazet, ale na samą Izbę robią akurat takie wrażenie, jak po rzewnem kazaniu wymownego kaznodzieji, odczytanie zapowiedzi. Jeszcze więcej się myli szanowny publicysta kiedy sobie wyobraża, że głos danego członka Koła powinien mieć w grupie stanowcze znaczenie, a w Izbie nie ma żadnego. Bywa wręcz odwrotnie. Oto żywy przykład w kwestji ogromnej doniosłości, na którym pozwolę sobie trochę zatrzymać Waszą uwagę, bo jednocześnie Wam pokaże, jak nam trudno tam z wypełnieniem głównego zadania Izby prawodawczej, t. j. gospodarka budżetowa.

Pierwsza dyskusja budżetowa w Rosji, od czasów Ruryka, miała miejsce nie w Dumie, lecz w Radzie Państwa, dzięki temu, że podług prawa etaty Rady Państwa, kancelarja państwowej i drukarni rozpatrują się pierwszej w Izbie wyższej, i od niej schodzą do niższej, a mniej liczna i bardziej doświadczone komisja Rady przed jej pracownia od Dumskiej. To była pierwsza okazja dla ustanowienia metody rozpatrywania oddzielnych etatów budżetowych, przy krepującym prawie 8-go marca 1906 r. Podług tego prawa, kredyty dzielą się na dwie prawie równe sobie połowy, t. z. w parlamentarnym żargonie „opancerzonych“, nie podlegających zmniejszeniu ze strony Izby, i „nieopancerzonych“, których Izby mają prawo odmówić choćby w całości. Przy uplanowaniu w komisji finansowej systemu jej pracy, prezes, dygnitarz finansowy starej daty, wymagał aby komisja o kredytach opancerzonych zupełnie się nie wypowiadała, co, ze względu na ciągłą zależność kredytów jednej kategorii od drugiej, sprawdziłoby całą robotę do prostej registratury. Na przykład: etat poczt i telegrafów zawiera dwie takie części: jedna, całych 33 milionów, kompletnie opancerzona, składa się z pensji wszystkich urzędników o i góry do dołu; druga, przeszło 22 miliony, nieopancerzona, z kosztów przewożenia korespondencji, utrzymania telegrafów, koni i t. d. Jasne, że gdyby celem zaprowadzenia jakiej oszczędności obcięte zostały kredyty ostatniej kategorii, nie wspominając o pierwszych, to by się tylko publiczność pozbawiła korespondencji, dla dostarczenia urzędnikom utrzymania; bez pracy tu właśnie występują „życzenia“ które, choć nie obowiązujące dla rządu, częstokroć biorą się pod uwagę, w każdym razie oświecają opinie publiczną. W sojuszu z dwoma bardzo znanymi mężami stanu, z resztą skrajnymi prawymi, przeprowadziliśmy 17 głosami przeciw 11, że komisja o swobodnych kredytach będzie wniosła na zatwierdzenie

Rady Państwa „postanowienie opancerzonych zaś — życzenia. metoda przeszła z Rady do Dumy stanowi dotychczas podstawę roboty finansowej obu Izb. O postanowieniu komisji zreferowa- związkowi obu naszych Kół, dnego zarzutu nie spotkałem. Zostawiało przeprowadzić postanowienie komisji w „plenium“ Rady. Tuż przed posiedzeniem s. p. Sejm, nenbach zwrócił moją uwagę na czną kontrminę: referat przedstawił życzenia komisji, jako „podlegające głosowaniu w Radzie Państwa“, zatem i dyskusji: wszystko zostało pogrzebane w archiwach komisji. Moi sprzymierzeni powierzyli mi odparcie niespodzwanego ataku — o jakimkolwiek zwolaniu Koła już i mowy być nie mogło. Udało mi się do tego stopnia, że, czytając w oczach przeciwników, iż ich stopniowo wracam, postanowiłem odrazu nowić precedens i zakończyłem go improwizowanym motywem: „przejściem do rozpatrzenia artykułów, uchwalającem życzenie komisji. Prezes przypomniał mi, że oddania wniosku pod głosowanie musi mieć tekst na piśmie, oparty na trzydziestu podpisach, i że uprzednie ogłosił krótką, aby mi to ułatwić; zmuszony do skaligrafowania na przedce dla formuły i zebrania 30 podpisów, naturalnie zwróciłem się najpierw do siadów-polaków, pięciu z rzędu mówiło; p. prezes Koła koronny bielecki akcentując, że obawia się, mój wniosek (omówiony z pp. Jankowskim, Durnowem i Schwanenbaczem) nie stanowił zamachu na prerogatywę Monarszą! Brakujące mi podpisy dopełnił... dwaj archiereje, prezes komisji finansowej, aby chociaż zaznaczyć, że składa broń! Wszak przeszedł jednogłośnie, sam obrońca prerogatywy nie mógł.

Ten typowy przykład dowodzi, że nie tylko pojedynczy członek może mieć wpływ w Izbie, a nie tylko w swojej grupie, ale nawet pierwszy wpływ może właśnie przyczyną braku drugiego. Wiem ci, co rozprawiają o grupach parlamentar-nych, a nigdy nie widzieli okiem do ich kuchenki, zapierając, że członkowie grup nie stają byc ludźmi, w których polityczne zwykłe są słabsze psychologiczne.

Otóż, Panowie, wien, że wszystko było, może się powtórzyć i się obwarować.

Jeszcze jedno słowo: każdy chyba zrozumie, że członek wyższej, który z niej wystąpił, kim rozgołosem, jak ja, nie może nie powrócić z lada jakąś wieścią. Zwolennicy absolutnej karności grupowej dla usunięcia mnie potrzebuja być w większości: będzie stosunkowo poważniejsi oponentów. I nie myślcie, Panowie, że by to był szantaż, owszem byłoby sobie oponentów podkopać wierzcie mi, że choć godność przedstawiciela gubernji wileńskiej, której wyższą ma swoją wartość, kój, swoboda i zdrowie mają swoją.

Na zarzut p. E. Kowalewskiego, kandydat nie ma prawa odwoływać do swego programu 1906 r., że sam przyznał w liście do p. Aktina, że program poniósł całkowitą porażkę, a zatem musi go zmienić, mówca odpowiada w następujący sposób.

„Nie będę zaprzeczał, że towar-ny moim słowem, zna cała Rosja. Lecz dziwię się, że p. Kowalewski wysnuwa z nich wniosek, o którym nigdy nie mówiłem. Tak, mój program 1906 r. poniósł klęskę; lecz, jak dodawałem w towar-ny liście, to tylko obowiązywało mnie zaraz oddać się pod moich wyborców, aby mogli, chcąc, wybrać sobie przedstawiciela z odpowiednim danej chwili programem. Ale mnie wcale nie obowiązuje to do zmiany mego programu i nie podobnego nie mówiłem. W wieku nie wypada mieć po jedynym programie na każdą kadencję, nawet mój program 1906 r., i dziś mi się wydaje słusznym i wiedliwym, poniósł nie czasową, ostateczną porażkę, to p. Kowalewski pozwoliłby mi powtórzyć słowa poety: „Victrix causa Diis sed victa Catoni.“

